

Magda
K N E D L E R

POŁOŻNA
Z AUSCHWITZ

MANDO 

© Wydawnictwo WAM, 2020

© Magdalena Knedler, 2020

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwiąg-Pieculewicz

Konsultacja merytoryczna: Teresa Wontor-Cichy,

Państwowe Muzeum Auschwitz-Birkenau

Redakcja: Anna Śledzikowska

Korekta: Maria Armatowa, Agnieszka Zielińska

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na pierwszej stronie okładki:

© Oriole Gin/Shutterstock; © coka/Shutterstock

Zdjęcie autorki na okładce: © Dariusz Kobucki / Studio INIGO

Skład: Lucyna Sterczewska

ISBN 978-83-277-2225-6

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

Druk i oprawa: READ ME • Łódź

Publikację wydrukowano na papierze Ecco book cream 70 g vol. 2.0
dostarczonym przez Antalis Poland Sp. z o.o.

30014 41335 25977 32618
48150
75560 41336
25566 84351
26281 84224 50831
199748 67849
87947 65908 34349 64055
85374
37577 30558 155912
29592 155909
35133 73643 87664
48150

Prolog

Sierpień 1944

Mama z Rebeką

– Dlaczego pani nie widziałem? Jak to możliwe? W lipcu? Jak mogłem przeoczyć panią w lipcu?

Doktor wypowiada te słowa spokojnie i powoli, jak gdyby upajał się ich brzmieniem. Nawet jeśli tak naprawdę musi być trochę zły. Jego twarz stopniowo przeobraża się pod wpływem gniewu, najpierw znika przyjazny uśmiech, później kąciki ust opadają lekko w grymasie niezadowolenia czy wręcz smutku, następnie alabastrowa cera zmienia kolor, różowieje, oczy się przysmykają, skórę pokrywają bruzdy. Można powiedzieć, że doktor odrobinę brzydnie. Odrobinę, bo wszystkie te małe grymasy są ledwie zauważalne dla niewprawnego oka. Panuje nad sobą. One tutaj po prostu już się go nauczyły.

Rebeka pochyła głowę, nie odzywa się. Jej brzuch jest duży i Stanisława myśli, że poród nastąpi lada chwila. Doktor chodzi, trzy kroki w lewo i trzy kroki w prawo, trzy w lewo, trzy w prawo, aż wreszcie zatrzymuje się znowu przed Rebeką.

– Dobrze. – Unosi głos, oczywiście znowu tylko odrobinę. – Dobrze. Urodzi pani.

Odwraca się bokiem do pacjentki i cicho tłumaczy coś swojej asystentce, czeskiej więźniarce, lekarce z zawodu. A później wychodzi. Kobiety oddychają z ulgą, ale na twarzy czeskiej lekarki maluje się napięcie.

– Co on pani powiedział? – pyta nieśmiało Rebeka.

– Że po porodzie twoje piersi zostaną zabandażowane.

Czeska lekarka również wychodzi, a do Rebeki nie od razu dociera sens jej słów. Dopiero po chwili zauważa oczywisty

związek między zabandażowanymi piersiami a niemożnością karmienia noworodka. Nie płacze. Jest śmiertelnie blada i przeżona. Wlece się w stronę koi, siada, opiera łokcie na kolanach i ukrywa twarz w dłoniach. Stanisława przygląda się jej uważnie. Rebeka jest młoda i wyjątkowo piękna. Dziś wzbudziła prawdziwą sensację, bo jako jedna z nielicznych wyjechała z obozu i do niego wróciła. Zanim przyszedł doktor, zdążyła w skrócie opowiedzieć o swojej dziwnej podróży. Do obozu trafiła z Theresienstadt w grudniu ubiegłego roku. Dla Żydów z Theresienstadt utworzono tutaj, po drugiej stronie torów, na odcinku B11b, obóz rodzinny, którego „oczyszczanie” rozpoczęło się w marcu. Stanisława słyszała, że na początku dotyczyło to przede wszystkim transportu wrześniowego. Pewnego dnia po porannym apelu rozkazano więźniom powrócić do bloków. Następnie osoby z wrześniowych transportów przeniesiono najpierw do kilku pustych baraków, a później – na B11a, do opróżnionego obozu kwarantanny. Mówiono im, że pojadą do pracy. Część z nich zawrócono na B11b, a po resztę przyjechały ciężarówki. Od tamtej pory nikt ich nie widział.

W obozie mówiło się różne rzeczy, jedne okazywały się prawdą, a inne nie. Pogłoskom o zaprowadzeniu tamtych ludzi do krematorium nr 3 dawano jednak wiarę. Wieści rozchodziły się po całym obozie. Mówiono, że na ciężarówkę ładowano ich po osiemdziesięciu, że esesmanów wspierała liczna grupa niemieckich i polskich kapo. Że wyjechało ich tam wtedy, do krematorium, ponad trzy tysiące. Że na widok krematorium sparaliżował ich strach, dlatego nawet nie usiłowali walczyć. Szli na śmierć potulnie i bez sprzeciwu, jak gdyby zaskoczeni, że to się w ogóle dzieje. Stanisława słuchała. Popatrywała czasem przez druty na

drugą stroną obozu, za tory. Obóz z Terezina, obóz cygański... Żadnego z nich już nie ma.

Rebeka opowiada, że początkowo z powodzeniem ukrywała swój rosnący brzuch, ale wtedy, w marcu, po raz pierwszy pomyślała o końcu. Wszyscy pomyśleli. Każdy żył odtąd w strachu, że historia się powtórzy, że transport grudniowy, po upływie sześciomiesięcznej kwarantanny, z pewnością czeka to samo. Cecilie, jedna z więźniarek, porównała nawet ich obóz do tonącego statku. Faktycznie, tonęli. Bardzo powoli, co czyniło życie w tym miejscu jeszcze uciążliwszym. Rebeka także czekała na śmierć, choć bardzo nie chciała umierać. Patrzyła jednak na swój rosnący brzuch i nie miała wątpliwości, co z nią będzie.

Przyszedł lipiec i kolejna wieść o transporcie. Wśród więźniów przeprowadzano selekcje i zaczęto wierzyć, że tym razem młodzi, zdrowi i silni naprawdę wyjadą do pracy. Pierwszych wyselekcjonowanych mężczyzn rzeczywiście odprowadzono na rampę, gdzie dostali przydziały chleba, margaryny i kiełbasy. Wsiadli do pociągu, ruszyli. Wyjechali. W kobietach też obudziła się nadzieja. Rebeka pomyślała, że być może to jej ostatnia szansa na życie.

Kazano im się rozebrać i nago przedfilować przed dwoma esesmanami i Mengelem. Była w ósmym miesiącu ciąży i wydatny brzuch nie budził żadnych wątpliwości. Patrzyła więc na dłoń doktora płynnie wskazującą prawo i lewo, życie i śmierć. Wydawało się, że to dla niego takie łatwe. Uśmiechał się nawet. Pogwizdywał. Rebeka nie wiedziała, co to za melodia, bo wyraźniej słyszała bicie własnego serca. Przed nią szły piękne i młode dziewczyny. Postanowiła zaryzykować i poprosiła, by wzięły ją między siebie i choć częściowo zakryły. Dziewczęta stłoczyły się w zwartą gromadkę, jedna z przodu, dwie z boku, Rebeka w środku. Wszystkie

razem wyglądały pięknie, zdrowo, młodo. W Rebecce rosło jednak poczucie beznadziei. Na pewno każą im się rozdzielić i przejść osobno, jedna za drugą, w prawo i w lewo...

Nie kazali. Wyprostowane, z uniesionymi głowami, przemaszerowały między esesmanami i przed Mengelem, który machnął dłonią. Nie wierzyła. Kiedy stłoczyły się pod ścianą umywalni, wraz z innymi, którym pozwolono żyć, rozplakała się. Zrozumiała, jak blisko była przejścia na tamtą stronę, i coś w niej pękło. Nie wiedziała, jak długo jeszcze wytrzyma. Co będzie teraz i co później, kiedy przyjdzie dzień rozwiązania. Ale jedno wiedziała na pewno – chciała żyć.

Była taka młoda, miała ledwie dwadzieścia jeden lat. Inaczej wyobrażała sobie to wszystko. Pierwszą miłość, małżeństwo, pierwszą ciążę. Wkraczanie w dorosłość, która powinna przecież nadchodzić etapami, a nie wtargnąć w jej życie nagle, brutalnie pozbawiając ją złudzeń. Tutaj musiała być dorosła, musiała być mądrą plemienną staruchą, która wie wszystko i której nic nie może zaskoczyć. Przechytrzyła Mengelego. Wyjechała z transportem do Hamburga, poszła z tym swoim dużym brzuchem do pracy przy odgruzowywaniu. Z tym dużym brzuchem wstawiała niewyspana i śmiertelnie zmęczona kładła się spać, z tym dużym brzuchem błagała blokową, by nikomu nie mówiła o ciąży. Co się stanie, to się stanie, ale może jeszcze jeden dzień, jeszcze chwilę, jeszcze trochę uda się pożyć... Pewnego dnia jednak do baraku przyszedł lekarz i zapytał, czy wśród więźniarek są chore. Blokowa odparła, że nie, ale ma tutaj jedną ciężarną. Rebeka po raz kolejny pomyślała o końcu. Bo co ją mogło teraz czekać?

Na komendanturze usłyszała, że u nich w Hamburgu się pracuje, a jeśli się nie pracuje, to się jedzie gdzie indziej. Ona w tym

stanie pracować nie może. I tak ubrana w płaszcz z namalowanym na plecach krzyżem, w asyście strażników pojechała koleją do Ravensbrück. W Ravensbrück Rebeka wpadła na pomysł, by symulować bóle porodowe. Zebrała się na odwagę i poprosiła o rozmowę z Oberaufseherin. Powiedziała, że jest w zaawansowanej ciąży, że chyba zaczyna się poród i że się boi, chciałaby więc zostać i urodzić tutaj. Wszystko, tylko nie Auschwitz. Trafiła na rewir, ale tam również nie pobyła długo. Sprawa z udawanymi bólami porodowymi musiała się wreszcie wydać, a do Ravensbrück napływały już liczne nowe transporty Polek z ewakuowanej sierpniowej Warszawy. Obóz był przeludniony. Po Rebece przyszedł więc esesman i wyruszyła transportem z powrotem do Auschwitz.

Mimo wszystko w Auschwitz Rebeka zobaczyła dla siebie kolejną szansę. Strażnik, który ją przyprowadził, nie miał ze sobą żadnych dokumentów. Powiedział tylko, że to ciężarny heftling z Auschwitz, ma wytatuowany numer, więc on ją tutaj zwraca. Była akurat pora obiadu, Rebeka dobrze to wiedziała. Esesman zza biurka wydawał się zniecierpliwiony.

– Imię! Nazwisko!

Rebecę pociemniało w oczach. Podała fałszywe nazwisko, czeskie. Owszem, miała numer. Owszem, z pewnością była gdzieś tam, w ewidencji. Esesman, tłumiąc ziewanie, pytał dalej.

– Matka? Ojciec? Żyd?

– Nie.

– Ty nie Żydówka?

– Nie.

Po chwili usłyszała: „Frauenlager”. Zrobiło się jej niedobrze i słabo z ulgi. Do obozu, nie do gazu. Jeszcze chwilę, jeszcze jeden dzień. Jeszcze trochężyć.

Później wieści się rozeszły, na sztubie położniczej Rebekę otoczyły inne więźniarki. Jak to się stało, że wróciła? Jak to się stało, że z Auschwitz w ogóle można wyjechać i do niego wrócić? Jak to się stało, że wyjechała z tym brzuchem, zamiast trafić zupełnie gdzie indziej? Wtedy właśnie przyszedł doktor. I był zirytowany, bo mu umknęła. Odrobinę zirytowany.

Stanisława przygląda się Rebecce ze współczuciem i lękiem. Widzi, jak jej przemożne pragnienie życia ustępuje miejsca rezygnacji. Podchodzi do niej i zaczyna zadawać pytania. Rebeka zamyka się z początku w milczeniu, dopiero po chwili unosi głowę i wyciera rękawem oczy i nos. W tym właśnie momencie mówi, jak naprawdę ma na imię i kim jest. Nie jest Marią, Czeszką, ale Rebeką, czeską Żydówką. Do obozu przyjechała z Theresienstadt. Tam zyskała męża, ale straciła macochę, siostrę i ojca.

– W Theresienstadt spotkałam swoją sympatię – mówi. – Miałam tylko dziewiętnaście lat. Czy można mnie winić za to, że jedynie o nim wtedy myślałam? Owszem, wyrzucono nas z domu. Mój ojciec miał fabrykę, mieliśmy piękne duże mieszkanie, byliśmy zamożni, dobrze nam się żyło. Pewnego dnia człowiek z SA ze swastyką na ramieniu nie wpuścił ojca do fabryki. Powiedział, że zakład już nie należy do niego. Tak po prostu. Człowiek coś miał, ale teraz nie ma, bo ktoś inny uważa, że dorobek życia można odebrać z dnia na dzień w myśl nowego prawa, które jednych uznaje za lepszych, innych za gorszych. Uciekliśmy. Tułaliśmy się po gospodarstwach rolnych. Ojciec ukrywał dobytek u chrześcijańskich przyjaciół z nadzieją, że kiedyś będzie można po to wrócić.

Rebeka przerywa, pociąga nosem i oddycha głęboko. Dotyka brzucha.

– O tym powinnam pewnie myśleć. Że wszystko nam zabrano i kazano mieszkać na wydzielonej ziemi, w jednym pokoju z innymi rodzinami, gdzie za łóżka musiały wystarczyć rzucone na ziemię materace. O tym, że kobiety oddzielono od mężczyzn i musiałam się zastanawiać, jak nawiązać kontakt z własnym ojcem. To wszystko przyszło nieco później. Najpierw był on, mój narzeczony. Miał pracę, która pozwalała mu swobodnie przemieszczać się po getcie. Mogliśmy się więc kontaktować. Kochałam go. Chyba... chyba bardziej niż całą swoją rodzinę.

Rebeka patrzy Stanisławie w oczy. Dodaje, że pod koniec czterdziestego drugiego jej rodzinę wyznaczono do transportu gdzieś na wschód. Nie wiedziała, co oznacza „transport”. I oczywiście nie chciała jechać. Nie dlatego, że się bała, że nie wiedziała, czego się mogą u celu spodziewać, ale dlatego, że w Theresienstadt miał zostać jej narzeczony.

– Serce mi pękało. Bo oczywiście chciałam być z rodziną, a jednocześnie bardziej chciałam zostać. Z moim ukochanym. Jego nie wyznaczono do transportu. I to on wpadł na pomysł, żebyśmy się pobrali. To nic, że w takim miejscu, to nic, że nie wiadomo, co z nami będzie. Ucieszyłam się. Moja sąsiadka z materaca obok zdjęła swoją ślubną obrączkę i wręczyła mi ją, abym w dniu ślubu miała co wsunąć na palec. Posługiwałam się nazwiskiem męża, choć nawet nie sprawdziłam, czy nasz ślub ktoś gdzieś zarejestrował. To się nie liczyło. Liczyła się przysięga przed rabinem i fakt, że mogę zostać. Z mężem. Ojca, macochę i siostrę wywieziono. Już ich więcej nie widziałam. I pewnie nie zobaczę. Prawda?

Stanisława nic nie odpowiada. Słucha tutaj wielu takich historii. Chciałaby dać tym dziewczętom nadzieję, zapewnić je, że wszystko dobrze się skończy, wrócą do domów, odnajdą rodziców,

rodzeństwo, narzeczonych, mężów, utraconych przyjaciół. Nie uznaje jednak kłamstwa. Mogłaby obiecać, że się za nie pomodli, ale nie o to im chodzi. Wolałyby coś, co w ich mniemaniu jest pewniejsze niż modlitwa. Coś, co dotyczy tego świata i pozwala bez lęku oczekiwać jutra.

Rebeka ponownie dotyka brzucha, przesuwa po nim dłonią, raczej badawczo niż pieszczotliwie. Krzywi się odrobinę. Dziecko się pewnie rozpycha. Nie starcza mu miejsca.

– Mój mąż zdołał załatwić dla nas małeńki pokoik na poddaszu. Zamieszkaliśmy razem i mogliśmy zacząć życie małżeńskie. Wcześniej kochaliśmy się tylko platonicznie, nic o tych sprawach nie wiedziałam, jedynie wyobrażałam sobie różne rzeczy, marzyłam... Powinnam uważać i poczekać. Powinnam wiedzieć, że życie z mężem skończy się ciążą, a przecież mieszkałam w getcie, był rok czterdziesty trzeci, mówiło się o transportach i we wrześniu faktycznie jeden odszedł. Duży. Mogłam się przecież domyślić, że będzie następny, że i nas wywiozą. Nie domyśliłam się. Nie uważałam i nie czekałam. Potrzebowałam bliskości. Dotyku, pocałunków. Kiedy to się działo, miałam wrażenie, że nie jestem na ciasnym poddaszu, na brudnym materacu w ciemnym kącie. Wtedy nasza klitka zmieniała się w królewską sypialnię. Bardzo, bardzo kochałam męża. A później zaszłam w ciążę.

Stanisława nadal słucha bez słowa. Od czasu do czasu kiwa głową i lekko się uśmiecha, uśmiechem łagodnym, poważnym, trochę smutnym. Zawsze przyjmuje czyjąś opowieść w milczeniu, czeka na ostatnie słowo, na kropkę. Dopiero wtedy zabiera głos. Rebeka odrywa dłoń od brzucha i podejmuje przerwana opowieść. Mówi, że w Theresienstadt próbowała się uczyć na

pielęgniarkę i przez jakiś czas pracowała nawet w szpitalu, ale tam pod jej opiekę trafiali głównie ludzie starzy, schorowani, umierający. Po raz pierwszy patrzyła wtedy na śmierć. Bała się jej. Bała się widoku martwych ciał, szeroko rozwartych oczu. Nie mogła spać i ciągle płakała. Chciała żyć, a musiała patrzeć na śmierć. Nie potrafiła tego udźwignąć. Znalazła zatrudnienie w kuchni, bo w kuchni było się bliżej jedzenia. W getcie wszyscy dobrze poznali głód.

– Śpiewałam w tej kuchni. Czeskie piosenki. Wszystkie śpiewaliśmy.

– Może więc zaśpiewaj nam coś tutaj – proponuje Stanisława.

Rebeka się waha, ale po chwili intonuje czeską piosenkę o tym, że nawet w najgorszym momencie potrzebny jest humor w sercu. Nawet jeśli jest źle, rano przychodzi nowy dzień, a wraz z nim kolejna szansa, by wrócić do domu. Melodia z getta. Rebeka przerywa śpiewanie, mówi, że piosenka dobrze brzmi z akordeonem, i Stanisława powinna sobie to teraz wyobrazić. Niech pomyśli o dźwiękach akordeonu. To nie takie trudne. Stanisława sama kocha muzykę, więc bez problemu wyobraża sobie pieśń wybrzmiewającą z akompaniamentem akordeonu. Do tego głos Rebeki, piękny, niski. Jest w nim smutek i głębia.

– Wreszcie nas wywieziono. Na wschód, jak mówili. I trafiliśmy tutaj. Później dopiero zrozumiałam, że mieliśmy szczęście, bo w łaźni była woda, a nie gaz. Mogłam zostać we własnym ubraniu i nie ogolono mi głowy, a wieczorem mogłam wyjść na ulicę i zamienić kilka słów z mężem. Nie wierzyłam w komory gazowe i krematoria, choć krążyły o nich różne historie, dopóki nie poczułam zapachu. Tutaj nie można nie czuć zapachu. Zapach jest zrośnięty z tym miejscem, określa je, dopełnia. Wtedy

uwierzyłam. A mój brzuch rósł. I mój strach także. I pewnego rodzaju desperacja, żeby przeżyć. Bardzo, bardzo chciałam żyć.

– A teraz? – pyta Stanisława.

Rebeka zastanawia się przez chwilę, po czym powoli kręci głową.

– Teraz to już nie ma znaczenia. Słyszała pani, co on powiedział.

Stanisława słyszała. Ale nigdy nie umiała odgadnąć, co ostatecznie postanowi. W jego zachowaniu było sporo sprzeczności. Umiał człowieka zaskoczyć – zarówno pozytywnie, jak i negatywnie. A Rebeka go zdenerwowała. Przez nią poczuł się oszukany, mało spostrzegawczy. Słaby.

– To chyba już – mówi dziewczyna i jak na komendę zgina się wpół.

Stanisława podrywa się z koi, rozkłada na piecu brudną derkę, jedyną, jaką dziś udało się zorganizować. Pomaga Rebecce wstać, widzi jej mokre i zabrudzone ubranie, jej wilgotniejące czoło. Ma kawałek ligniny dla dziecka i trochę zaoszczędzonej wody w wiadrze. Przemyje nią maleństwo, kiedy się urodzi. Wyjmuje zorganizowany skądś różaniec i zaczyna się modlić. A później pomaga Rebecce uwierzyć w to, że niezależnie od decyzji doktora dziecku trzeba ułatwić przyjście na świat. Należy oddychać, współpracować, zachować siłę. Nie poddawać się.

Rebeka wydaje na świat córkę. Stanisława myje dziecko, owija je w ligninę, kładzie przy matce. Rebeka płacze. Jest śmiertelnie zmęczona i bardzo się boi. Stanisława modli się gorąco, tak gorąco, jak chyba jeszcze nigdy, bo czuje nagły, paralizujący chłód.

Nazajutrz przychodzi doktor. Zerka na dziecko, na Reбекę. Uśmiecha się, kiedy mówi do pielęgniarki:

– Proszę postępować według zaleceń.

Pielęgniarka bandażuje jej piersi, żeby nie mogła karmić.

Uczucie zimna się wzmacnia, Stanisława rozciera dłonie, kuli się. Rebeka tylko na nich patrzy. Na położną i na lekarza. Pewnie nie wie, które z nich błagać o pomoc. Lekarz ma tutaj władzę, ale w jego oczach czai się pustka. Kiedy wychodzi, spojrzenia kobiet spotykają się. Obie już wiedzą, że nie ma z tej sytuacji dobrego wyjścia.

Stanisława obserwowała doktora już nie raz. Dziś wydaje się jej jednak, że przekroczył pewną granicę – taką, za którą nie ma już nic. Żadnych zasad i żadnych wartości. A może przekroczył ją już wcześniej, dawno temu, i dlatego się uśmiechał. Dziecko nie było dla niego małym człowiekiem, załącznikiem nowej opowieści, którą należy wypełnić treścią, ale materiałem badawczym. Nic nie czuł poza ciekawością.

Rebeka i jej córka leżą obok siebie na koi. Matka z zawiązanymi, bolącymi piersiami i rosnącą gorączką. Dziecko płaczące z głodu i nękane w oczach. Doktor odwiedza je każdego dnia, obserwuje, kiwa głową, robi notatki, wychodzi. Rebeka dotyka bandaża na piersiach, zaciska zęby, fizyczne cierpienie znosi w milczeniu. Usiłuje karmić dziecko obozową zupą i kawałkami chleba. Wie, że to nic nie da, że to nie jest pokarm dla noworodka. Małeństwo płacze i jest go coraz mniej. Pewnego ranka, kiedy doktor robi swoje notatki, Stanisławie wydaje się, że dłużej już nie wytrzyma. Chce coś powiedzieć, może błagać, a może go upomnieć, trochę jak syna lub młodszego brata, który zapomniał, na czym polega bycie człowiekiem. On ją jednak ubiega.

– W porządku – mówi do Rebeki i wskazuje jej córkę. – Jutro bądźcie gotowe, obie. Przyjdę po was.

„Przyjdę po was” może oznaczać różne rzeczy, ale na pewno żadnej dobrej.

Rebeka patrzy w oczy Stanisławie.

– To już. Tym razem się stanie.

Tym razem się stanie i tym razem płacze Rebeka, bo dziecko nie ma już siły. Małe płuca pracują z dużym wysiłkiem, mała klatka piersiowa nieznacznie się unosi, małe powieki opadają, mała krtań z trudem wytwarza ciche dźwięki. Rebeka jednak płacze coraz głośniej, wreszcie krzyczy, że chce żyć, że umrze, że nie wie, czy chce żyć, że się boi, że nie chce umierać, że chce umrzeć, bo dłużej już tego nie znieśie, zaraz znowu, że nie, wcale nie chce, błaga o jeszcze jedną szansę, jeden dzień. Co z nią będzie? Dokąd odejdą, ona i dziecko? Dlaczego muszą umrzeć? Dlaczego to się dzieje?

Nie ona pierwsza zadaje tutaj takie pytania. Myśl o zbliżającej się śmierci każdy przyjmuje po swojemu.

Przychodzi czeska więźniarka, lekarka. Rozmawia z Rebeką, pyta, o co chodzi. Znika gdzieś i wraca za chwilę ze strzykawką. Stanisława zastyga w bezruchu i przysłuchuje się ich rozmowie.

– Jestem lekarką. Obiecałam ratować życie i muszę coś dla ciebie zrobić. Daj to dziecku.

Kobieta podaje Rebecie strzykawkę.

– Co to jest?

– Morfina.

– Proszę to zabrać. Nie mogłabym... nie zrobię...

– Spójrz na swoje dziecko. Ono nie ma już żadnych szans. Ale ty masz.

Stanisława odwraca się do nich plecami, szepcze swoją modlitwę, znowu gorąco, najgoręcej, jak może. Słyszy szlochanie,

kwilenie, przyspieszony oddech matki, kroki odchodzącej lekarki. Wreszcie zapada cisza.

Rankiem na scenie pojawiają się ci sami co zawsze aktorzy. Liczenie. Wynoszenie ciał przed barak. Przynoszą rzadką owśiankę na rozwodnionym mleku, jedne kobiety popijają płyn małymi łykami, by nieco uspokoić żołądek, a inne rzucają się na połówkę jasnej bułki. Przydział śniadaniowy dla ciężarnych. Na innych, „normalnych” blokach dostaje się kawałek gliniastego chleba i ziółka.

Przychodzi i on. Jak zwykle nienagannie ubrany i uczesany, w lśniących oficerkach. Uśmiecha się, błyszczą jego białe zęby filmowego amanta. Zbliża się do Rebeki.

– Dzień dobry. Gdzie dziecko? – pyta.

– Zmarło.

Doktor obraca się na pięcie i zmierza ku wyjściu. Prawdopodobnie chce zobaczyć ciało. Zanim pojawia się znowu, Stanisławę bolą z napięcia wszystkie mięśnie. Krok doktora jest sprężysty jak u sportowca.

– Szkoda – mówi do Rebeki. – Ale masz szczęście.

Znika on, znikają inni aktorzy codziennego obozowego dramatu. Stanisława pomaga Rebecce uwolnić się z brudnych bandaży. Dziewczynę boli całe ciało, wstrzymywanie pokarmu zaowocowało stanem zapalnym i kolejnym skokiem gorączki. Stary bandaż jest sztywny i twardy jak gips. Trzeba zastąpić go nowym, znowu przewiązać piersi, by dalej wstrzymywać laktację.

Teraz już Rebeka nie płacze. Na jej bladej, wymizerowanej twarzy widać rezygnację.

– Naprawdę miałam szczęście? – pyta. – Ja nie wiem. Nie wiem.

Pewnego dnia ją zabierają. Stanisława pyta później, dokąd odjechał transport, i dowiaduje się, że więźniarki przewieziono podobno do obozu pracy pod Lipskiem. Myśli o niej każdego dnia. O niej i wszystkich innych.

I

Wrzesień 1944

P
r
z
y
b
ą
d
ź

My (ja), z Mamą i bez

Kiedy miałam czternaście lat, matka zabrała mnie na wieś. Był sierpień, środek lata, powietrze ciężkie od upału. Nigdy wcześniej nie spędzaliśmy wakacji na prawdziwej wsi, tata dobrze zarabiał, uważał, że ludzie na pewnym poziomie muszą także na poziomie odpoczywać. Jeździliśmy więc do modnych kurortów lub za granicę, na Lazurowe Wybrzeże, w Alpy. Rodzice, jak większość „ludzi na pewnym poziomie”, ulegli także fascynacji Zakopanem, gdzie tata nosił białe koszule i finezyjne krawaty, mama szykowne suknie i pantofelki na obcasiku, ja zaś z fascynacją i lękiem patrzyłam na górskie szczyty. Rosła między nami bariera, której długo nie zauważałam. Ciągnęło mnie do natury. Zrozumiałam to i zaakceptowałam dopiero po pierwszym doświadczeniu niespełnionego macierzyństwa i rozpadzie małżeństwa. Zwróciłam się ku naturze, ku człowiekowi wpisanemu w tę naturę od zawsze aż do końca świata. Teraz myślę, że to się musiało stać już wcześniej. Tam, na wsi, w sierpniu.

Tata miał dużo pracy i oznajmił, że w tym roku wakacji nie będzie. Matka bardzo się zdenerwowała, piekliła się, że ona na lato w Warszawie nie zostanie i już. Zaraz napisała do jakiejś swojej kuzynki, mojej ciotki. Ciotka się ucieszyła i zaprosiła nas do siebie „w skromne progi”, do domu pod lasem. Pojechaliśmy. Pierwszego dnia w ogóle się nie odzywałam, tak mnie fascynowała zieleń dookoła, nieznanne dotąd zapachy i smaki, haftowane poszewki na jaśkach, malowane sufity, święte obrazki na ścianach. I nieokiełznana, bujna natura, walcząca o każdy

skrawek przestrzeni. Czułam się tam dobrze, choć uważałam się za dziewczynę z miasta.

Pewnego dnia ciotka wpadła do kuchni i zawołała, że musi biec po babkę, bo sąsiadka rodzi. Nie zdążyłam o nic zapytać, ciotka jak szybko się pojawiła, tak szybko zniknęła. Widziałam tylko matkę, która kończyła w milczeniu śniadanie i z trudem przełykała ostatnią łyżkę twarogu. Wtedy zrozumiałam, że słowo „rodzi” wzbudziło w niej strach. Byłam jedynaczką. Może miała jakieś złe doświadczenia, może moje przyjście na świat kojarzyła z bólem, cierpieniem, a nawet upokorzeniem?

Myślałam czasem o porodzie, choć wiedziałam, że moje wyobrażenia z pewnością nijak nie przystają do rzeczywistości, bo przecież nie miałam o tych sprawach pojęcia. Matka nic mi nigdy nie mówiła, w naszym domu nie rozmawiało się o ciele. Ciało było czymś, co należy ładnie ubrać i o co należy dbać, by było atrakcyjne i zdrowe, na tym koniec. Matka więc malowała się, czesała, perfumowała. Chodziła na spacer i tańczyła, bo to ponoć dobre dla figury. Kształtowała ciało, urabiała je, by się wpasowało w określoną formę. Ja szukałam w swoim ciele przejawów natury. Obserwowałam rosnące włosy i paznokcie, zakręglające się biodra i piersi, wyostrzające się rysy twarzy. Zastanawiałam się nad kobiecością i nic o niej nie wiedziałam. Czułam jednak, że bycie kobietą nie polega tylko na tym, że można nosić ładne kolczyki, kręcić włosy w loki i malować usta. Nie miałam pojęcia, do kogo się zwrócić, komu i jakie zadać pytania. Długo nie wiedziałam, do czego służy matce pas usztyty przez gorseciarkę, do którego dopina się trójkątne materiałowe wkładki z guziczkami, że się te wkładki nosi przez kilka dni w miesiącu i pierze. Wreszcie się dowiedziałam. Matka również dla mnie zamówiła

taki pas, powiedziała, w jakiej sytuacji mam się po niego zwrócić i że nie muszę się bać, bo przytrafia się to każdej dojrzewającej dziewczynie. „To”. I ani słowa więcej. Zamknęła w ten sposób temat i nigdy już do niego nie wracała. A ja rosłam i patrzyłam. Nie umiałam nazwać związku, jaki zauważałam między górskimi szczytami, lasem, srebrnymi jeziorami, zieloną łąką, rzeką, zapachem ziemi i właśnie kobiecością. Miałam tylko mgliste przecucie, że w kobiecie jest coś pierwotnego i organicznego, coś, co jest darem samej natury.

Tamto zdarzenie na wsi okazało się dla mnie pod wieloma względami przełomowe, nawet jeśli później na jakiś czas zepchnęłam je na margines świadomości. Nie chciałam o nim pamiętać, kiedy sama zaszłam w ciążę i później, kiedy patrzyłam na położne w błyszczących białych fartuchach i czepkach, wyprostowane, dumne królowe lśniące czystością porodówki. Przypomniałam sobie o nim dopiero w obozie na widok Mamy. I od tej pory już pamiętałam.

Zjadłam wtedy do końca śniadanie – domowy tworek ze śmietanką i szczypiorkiem, chleb ze świeżym masłem, kawa zbożowa z mlekiem – i pod byle pretekstem wymknęłam się z domu. Wiedziałam, że moja matka zasiądzie gdzieś w cieniu z książką i przez cały dzień będzie narzekać na upał. Bez wahania pobiegłam do gospodarstwa rodzącej sąsiadki. Podpatrywałam wszystko, ukryta za krzakami róży. Widziałam kobiety, które zebrały się przed wejściem i pod oknem, każda podekscytowana, rozgadana, a jednocześnie skupiona i w gotowości.

– Ja to zęby prawie z bólu połamałam, tak zaciskałam – mówiła pierwsza.

– A ja to już tylko chciałam, żeby się skończyło, a babuszka ze spokojem, że im mocniej boli, tym bliżej do końca – mówiła druga.

– A ja znowu mojego chłopa za pierwszym razem tak wykli-
nałam! Że on mi to zrobił i ma się ode mnie trzymać z daleka.
I co? I szóstkę mamy. Co kolejne, to łatwiej – mówiła trzecia.

Widziałam ciotkę, za którą dreptała jakaś starsza kobieta w chustce na głowie, mała, pomarszczona, trochę straszna. I o dziwo – przed tą straszną kobietą rozstąpiły się wszystkie inne. Swoją postawą wyrażały szacunek, może nawet podziw. I jeszcze coś zauważyłam. Błaganie o pomoc, a zarazem bezgraniczne zaufanie. Tym kobietom ulżyło, kiedy zobaczyły starszą panią w chustce, i bez sprzeciwu wykonywały każdy jej rozkaz. Właśnie rozkaz, nie uprzejmą prośbę. To musiała być owa babka, o której mówiła ciotka. Kiedy babka wołała z głębi domu: „wody!”, zaraz któraś biegła z wiadrem do studni, a inna szła do kuchni, by napalić w piecu i przygotować garnki. I dalej: „prześcieradło”, „nożyk”, „nitka”, „tasiemka”. Jedna z kobiet mamrotała, że babka tylko tak sobie gada, bo musi porządzić, a w rzeczywistości wszystko ma już przygotowane i do rodzącej nikogo nie dopuszcza. Rozległ się krzyk. Nigdy wcześniej nie słyszałam niczego podobnego. Kiedy na chwilę ucihł, babka zaczęła otwierać po kolei wszystkie okna, a na koniec drzwi wejściowe, na oścież. Machnęła ręką na kobiety, by się odsunęły, by dały rodzącej trochę miejsca, jej i dziecku. Miałam teraz widok na fragment pokoju, w którym przychodziło na świat nowe życie. Widziałam stopy rodzącej i krążącą wokół łóżka babkę.

– A włosy to mi babunia czemu rozplotła? – pytała kobieta.

Babka pomruczała, pomruczała i odrzekła, że nic nie może ścisnąć i krępować. Wszystko ma się rozluźnić, otworzyć, ten pierścionek ślubny też trzeba zdjąć. I kobieta zdjęła pierścionek.

Później:

– Nie urodzę. Nie dam rady. Nie urodzę. Nie umiem urodzić!

Przerażenie kobiety udzieliło się także mnie. Siedziałam tam, za krzakiem róży, i czułam, jak wilgotnieją mi dłonie. Było coś osobliwego w tej scenie, co budziło nieznaną mi wcześniej trwogę. Miałam wrażenie, że patrzę na doświadczenie z pogranicza życia i śmierci. Zrozumiałam chyba wtedy, że narodzin od śmierci nie da się odłączyć, że oczekiwanie na dziecko zawsze wiąże się z lękiem przed nią, że śmierć jest w narodziny nieodłącznie wpisana. W wymiarze zarówno fizycznym, jak i symbolicznym. Kobieta także rodzi się na nowo, przekracza granice w poznawaniu własnego ciała, uczy się go, uczy się siebie. Umiera, a później ponownie przychodzi na świat, w innej roli, z repertuarem nowych cech. Znosi więcej, niż kiedykolwiek potrafiła sobie wyobrazić.

Babka przez cały czas coś mówiła. Czasem zadawała pytania, czasem opowiadała jakieś historie. Była ciągle w ruchu, ciągle czujna.

– Co nie dasz rady? Co nie urodzisz? A kto ma urodzić? Chłop? Każda umie urodzić i ty też umiesz. Wyrzuć to z siebie, wyrzuć precz.

– Co mam wyrzucić?

– To gadanie takie. To myślenie, że nie umiesz. Ale strachu nie. Nie wiesz, co będzie, to się boisz. I dobrze, powinnaś się bać, tylko głupie się nie boją. Ważnych rzeczy człowiek się zawsze boi, bo ważnych rzeczy trzeba się bać. O dziecku myśl. Że ono wyjść musi. Wypuść dziecko. Wypuść.

Wypuść. Trzeba się otworzyć na życie, na to, co nowe i nieznanne. Babka nie ubierała niczego w piękne słowa, była prosta,

konkretna. Ale tam, w wiejskim domu z niebieskimi okiennicami miała wielką moc. Była potężna. Nie traciła cierpliwości, nie złościła się, nie męczyła. Pomyślałam nawet, że nie może być zwykłym człowiekiem jak ja, moja matka czy ta rodząca kobieta. Musi mieć w sobie coś więcej, coś z dobrego ducha, anioła.

– Ano już, wszystko gotowe – powiedziała wreszcie. – Dziecko może wyjść. No dalej, wypuść.

Zapadał zmierzch i zanosilo się na burzę. Tkwiłam za swoim krzakiem, zeszywniała z braku ruchu i napięcia, głodna, spragniona i spocona jak mysz. Nie mogłam odejść.

Powietrze przeszył przenikliwy wrzask. Inny niż poprzednie okrzyki bólu.

– Dobrze, dobrze, i jeszcze raz! – wołała babka.

Wrzask ucichł, a zamiast niego usłyszałam płacz.

– No i już, mała, no i już. A ty nie wstrzymuj, ty becz, jak tak ci lżej. Beczeć też trzeba umieć, a nie każdy umie.

Żałowałam, że widzę jedynie fragment tej sceny. Przed oknem majaczyła czasem postać babki, najpierw z rękami czerwonymi aż po łokcie, później z zawiniątkiem w ramionach.

– Córa! Silna będzie jak ty! A jaka ładna.

Do domu weszły pozostałe kobiety. Jedne oglądały dziecko, inne pomagały świeżo upieczonej matce, przyniosły miski z wodą, myły ją, przebierały. Izba rozbrzmiewała głosami, dobiegały z niej osobliwe zapachy. Ktoś mówił, że jeśli piersi będą boleć, dobre są na to okłady z liści kapusty. Niebo przecinały pierwsze błyskawice, zrobiło się duszno i gorąco. Miałam wrażenie, że gęsty i ciężki strach tamtej kobiety, który udzielił się i mnie, już się ulotnił. Zastąpiło go coś lżejszego, pięknego. Coś, co się zdobywa z trudem, ale ma najwyższą wartość.

Przywoływałam to wspomnienie w obozie za każdym razem, kiedy widziałam Mamę przyjmującą dziecko. Tamta kobieta mówiła do wiejskiej akuszerki „babuniu”, ale Mama była po prostu Mamą. Ona również miała w sobie ten nadludzki, duchowy pierwiastek. Była naszym opiekuńczym bóstwem.